

Polska dla początkujących

5 grudnia 2009

Nie powinienem narzekać – Polska dała mi rodzinę, karierę, pieniądze i mieszkanie. Spędziłem tam 10 lat – 5 w Warszawie i 5 w Gdyni. Wróciłem do Londynu miesiąc temu i znów mogę mówić bez zastanawiania się nad słowami, nie martwić odmianą czasowników (te przeklęte końcówki), czy też moimi groteskowymi (czasami) błędami w wymowie. Banki i urzędy pocztowe nie napawają mnie już lękiem, chociaż wciąż jeszcze wrzucam polskie słowa pomiędzy moje angielskie zdania.

Mieszkam teraz w Finsbury Park, w miejscu, gdzie widok białych twarzy jest tak rzadki, jak widok innych niż białe w Gdyni. W okolicy mam polski sklep „Smakosz”, z całą gamą przysmaków i nawet świeżym polskim mlekiem. Pochodzę z Sussex, dlatego Finsbury Park czasami wydaje mi się tak obcy, jak niegdyś Gdynia. Chociaż nie do końca.

LEKCJA 1

Moja pierwsza wizyta niemal całkowicie zniechęciła mnie do Polski. Nikt mnie wcześniej nie ostrzegał przed tym, co zobaczę. Ponure popołudnie było ciężkie do zniesienia, jeszcze zanim wjechaliśmy do ciemnego tunelu, po pięciu niekończących się godzinach jazdy w zatłoczonym pociągu z Sopotu. Ciężka mgła unosiła się nad Wisłą, kiedy w pewnym momencie w wagonie Warsu zgasły światła. Wjechaliśmy w długi tunel prowadzący do głównego dworca. Utknąłem w korytarzu, dreszcze, czekanie, ciemność. Sprawdzanie kieszeni. A potem, wreszcie, pociąg zdecydował się wtoczyć na peron i wyrzucić nas na zimnej warszawskiej stacji. Drzwi otworzyły się z hukiem po tym, jak wykopał je pijany nastolatek w wojskowym mundurze. Ostre światło, chłód, żelazo i beton, zepsute schody ruchome i sunące po nich stopy. W końcu wydostaliśmy się na zewnątrz, do głównego hallu. „Najobskurniejsze miejsce na świecie” – tak wtedy pomyślałem.

Było to w roku 1993. Miałem spędzić w Sopocie miesiąc, ucząc się języka polskiego, zanim rozpocząłem studia doktoranckie na londyńskim uniwersytecie. Pisałem o PZPR/SLD. Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem. Przyjechałem do Sopotu tydzień wcześniej, spodziewając się zobaczyć wiele smutnych, zabiedzonych twarzy. Kolejki, śnieg i czołgi – to było wszystko, co widzieliśmy w telewizji. Stereotypy były niezwykle mocne (w niektórych przypadkach wciąż takie pozostają). Niektórzy znajomi pytali mnie nawet, czy będę miał tam co jeść, czy w Polsce jest elektryczność. To nie były żarty. Spodziewałem się więc smutnego, ale heroicznego spektaklu. Co zobaczyłem? Ludzie uśmiechali się, cieszyli życiem, byli dobrze ubrani i jeździli wielkimi starymi mercedesami. To było zbyt normalne. Przyjechałem do Polski żeby zobaczyć „tę drugą stronę” cztery lata po zburzeniu muru berlińskiego, a tu w barze, przy deptaku Monte Cassino, piłem sobie piwo, obsługiwany przez atrakcyjną i miłą barmankę. Piwo było mocniejsze niż mi się wydawało, a cena przystępna – kosztowało jedynie 20 000 złotych.

PRZYPADEK Z PRZYPADKIEM

Przyjechałem autokarem, była to podróż do innego świata. Kiepska droga we Wschodnich Niemczech obudziła nas o 3.00 nad ranem. Potem granica, godziny rozmów, negocjacji. Podróż do Sopotu zajęła kolejne 8 godzin drogami, które czasem wnikały wprost do centrów miast jak Słupsk i Koszalin. Widziałem „Punx not dead” napisane na ścianach miast i wiosek. 28 godzin po wyjeździe ze stacji Victoria dojechaliśmy do Sopotu, prosto do „Łajby”, domu dla zagranicznych studentów Uniwersytetu Gdańskiego. Przez cały miesiąc groźna, choć niewielkiej postury, starsza pani, za pomocą wskaźnika, pokazywała tablicę odmian przez przypadki zawieszoną na ścianie. „Dopełniacz”, „celownik” – mój brak wiedzy na temat mechanizmów działania języka został boleśnie obnażony. Nie byłem wtedy do końca pewien, czego się uczyłem i po co, choć teraz czasami żałuję, że bardziej się nie przyłożyłem. Cóż. Kobieta przez cały czas

mówiła tylko po polsku, a to nie mogło zadziałać. Przynajmniej dla mnie. Znów byłem w szkole, miałem 14 lat i znów się buntowałem. Kolejna zmarnowana młodość.

Miesiąc później, po powrocie do Londynu rozpocząłem studia doktoranckie, wprowadzając się do mieszkania komunalnego w pobliżu Elephant and Castle. Mieszkanie miało nędzne zamki i dwa razy ktoś się do nas włamał. Płaciliśmy tylko 75 funtów miesięcznie za trzy pokoje. Złodzieje zostawili komputer, ale zabrali skórzaną kurtkę. Dbali o styl, ale nie mieli mózgów. W London School of Economics trafiłem na promotora, Anglika pochodzenia węgierskiego, który wolał pojawiać się w radiu i telewizji, niż spotykać ze swoimi studentami. Nastąpił ciąg trudności finansowych, zaległych rachunków. Pisanie pracy zakończyło się w kwietniu 2004 eksmisją i latem spędzonym w Gdyni. Po finale Pucharu Świata, wybrałem się w kolejną dwudziestoośmiogodzinną podróż (Włosi przegrali z Brazylią w karnych). Było to najgorętsze lato od lat, choć ja spodziewałem się chłodu, a może nawet niewielkiego śniegu – cóż, Bałtyk nigdy nie kojarzył mi się ze spędzaniem wakacji. Smażyliśmy się na balkonie, na jedenastym piętrze, mając widok na żurawie gdyńskiej stoczni imienia Komuny Paryskiej. Cudowne piaszczyste plaże, lody i piwo. Uwielbiałem to.

KSERÓWKA Z „TRYBUNY LUDU”

We wrześniu zjawiłem się w Krakowie, gotowy do podjęcia rocznych badań naukowych. Moja uczelnia i Uniwersytet Jagielloński miały program wymiany studentów, a British Council wypłacał mi niewielkie stypendium. Byłem jedynym brytyjskim studentem na wydziale politologii i dopiero po dwóch tygodniach udało mi się wreszcie spotkać mojego opiekuna. Potrzebowałem planu, strategii, by uczyć się języka polskiego i prowadzić badania. Nie znalazłem się jednak na liście centrum językowego, więc przegapiłem pierwszych 7 tygodni kursu. Spotkałem za to kilku byłych członków PZPR, którzy wykładali na uniwersytecie. Większość z nich nie wiedziała, co tam robiłem, a moje zainteresowanie tematem było

dla nich podejrzane. Był rok 1993, atmosfera polityczna była gorączkowa, pełna oskarżeń i odpierania ataków. SLD Kwaśniewskiego było u władzy, a proces rozwiązywania komunistycznych struktur wydawał się być wstrzymany. To była dla mnie dziwna i ciężka praca. Odwiedzałem bibliotekę uniwersytecką i jak najlepiej umiałem wypełniałem rewersy, zamówienia na książki i materiały, które wydawały mi się potrzebne. Musiałem czekać dwa dni za każdym razem, gdy chciałem zamówić więcej. Dzięki temu mam teraz setki fotokopii stron Trybuny Ludu z 1989. Skarb sam w sobie.

Mieszkałem w masywnym Domu Studenckim Piast, który stoi przy głównej ruchliwej ulicy. Wielki, szkaradny blok z pełnymi brudu parapetami, zimnymi i niewygodnymi łózkami. Ciemne korytarze, wspólne kuchnie, małżeństwa studentów przygotowujące herbatki i zupki dla swych dzieci. Mieszkał tam też student z Korei, który jak mi powiedział, był jedną z pięciu osób z tego kraju uczących się polskiego. Umiał mówić o niebo lepiej niż ja, ale obsługa stołówki śmiała się z jego wysiłków, zwracając się od razu do mnie, jakby Koreańczyka w ogóle nie było. A potem ja się odzywałem, a oni znów się śmiali. Wytrzymałem tam miesiąc. Przeniosłem się na kemping, gdzie mieszkając, uczyłem angielskiego, by zwiększyć swój dochód sześciuset złotych miesięcznie. Sam Kraków był wspaniałym, uroczym doświadczeniem.

W lecie 2005 roku przyjechałem do Londynu, żonaty. Ceremonia odbyła się w Gdyni, a przyjęcie w mieszkaniu rodziców mojej żony, na jedenastym piętrze. Były tańce, jedzenie i picie oraz moje przemówienie, podczas którego kaleczyłem język polski do tego stopnia, że moja nowa rodzina z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Już wiem, że jest się w tarapatach, kiedy ludzie mówią jak dobry jest twój polski. Trzydzieści lat później, to ciągle troszkę boli.

Autor: Jo Harper

Tłumaczenie: JS

Źródło: [eLondyn](#)